

K. D. ARCHER

CENA REPUTACJI



MIŁOŚĆ NIE BYŁA CZĘŚCIĄ UMOWY.

CENA REPUTACJI

Tom I trylogii

„POZA PROTOKOŁEM”

K. D. ARCHER

INFORMACJE WYDAWNICZE

Skład i redakcja: Karolina Dopierała

ISBN: 978-83-8455-098-4

Pruszków © 2026 K. D. Archer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej publikacji nie może być powielany ani rozpowszechniany w żadnej formie i w żaden sposób bez uprzedniej pisemnej zgody autorki.

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych, żyjących lub zmarłych, oraz autentycznych wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

www.MarySue.pl

Kontakt: hello@marysue.pl

ROZDZIAŁ 1 – FABRYKA ESEJÓW

Biblioteka Wydziału Prawa St. Jude zawsze pachniała tak samo: przegrzаныmi kserokopiarkami, tanią kawą z automatu i ludźmi, którzy od trzech pokoleń nie musieli pytać o cenę czegokolwiek.

Amelia Vance siedziała w sekcji archiwalnej, w najdalszym kącie, gdzie światło jarzeniówek mrugało w rytmie agonii, a kurz osiadał na tomach orzeczeń sądowych, których nikt nie otwierał od lat dziewięćdziesiątych. Było tu zimno – chłód, który przenikał przez jej cienki sweter i zostawał pod skórą na długo po wyjściu z budynku.

Przed nią stał jej własny laptop, stary model z wytartymi klawiszami.

Amelia pisała o prawie spadkowym. Dla Arthura Montgomery’ego, którego nazwisko właśnie widniało w nagłówku dokumentu, było ono abstrakcją, którą zajmowali się księgowi jego ojca.

– „Analiza porównawcza zapisów windykacyjnych w systemie kontynentalnym i anglosaskim...” – wymruczała pod nosem, poprawiając zsuwające się z nosa okulary.

Jej palce poruszały się po klawiaturze rytmicznie, niemal bezmyślnie. Znała tę definicję na pamięć. Wiedziała, gdzie postawić przecinek, by profesor Brown nie miał się do czego przyczepić, i wiedziała, jak ułożyć zdania, by brzmiały jak przemyślenia kogoś, kto spędza wieczory na jachtach, a nie przy zmywaku. To nie był zwykły esej. To był produkt. Precyzyjnie skrojona usługa, za którą Montgomery zapłaci tyle, ile ona wydawała na jedzenie przez miesiąc.

Czuła pieczenie pod powiekami. Nocna zmiana skończyła się o szóstej rano, a ona miała tylko dwadzieścia minut na szybki prysznic w ogólnodostępnej łazience akademika, zanim ruszyła do biblioteki. Jej dłonie wciąż pachniały gorzkim ziarnem kawy i tym specyficznym, chemicznym płynem do dezynfekcji blatów.

Policzyła do siedmiu. Wdech. Wydech.

Nagle powietrze w archiwum zmieniło gęstość. Było to znajome uczucie – swędzenie na karku, które ostrzegało ją przed nadchodzącym zagrożeniem. Usłyszała kroki. Miarowe, pewne siebie, bez cienia pośpiechu, który towarzyszył innym studentom. James Thorne nie musiał się śpieszyć. Czas w St. Jude płynął pod jego dyktando.

Pojawił się między regałami z prawem karnym jak cień, który ma zbyt wiele klasy, by być mrocznym. Ciemny, idealnie dopasowany garnitur, koszula tak biała, że aż raziała w oczy w tym przygaszonym świetle i krawat w barwach uczelni. James Thorne był definicją prestiżu. Syn sędziego Sądu Najwyższego, złote dziecko systemu, chłopak, który miał zostać przyszłością tego kraju, a zamiast tego bawił się w zarządzanie podziemną fabryką esejów.

Szedł przez środek czytelnicy w towarzystwie Nicholasa Williamsa. Nicholas, z rozpiętym guzikiem pod szyją i nonszalanckim uśmiechem, był żywym dowodem na to, że w St. Jude można być jednocześnie arystokratą i lekkoduchem.

– Thorne, jeśli jeszcze raz zmusisz mnie do słuchania o precedensach w drodze na śniadanie, przysięgam, że znajdę sobie mniej nudnego przyjaciela – rzucił Nicholas, mrugając do jednej ze studentek przy stole.

James odpowiedział mu krótkim, niemal niedostrzegalnym uśmiechem, ale nie zwolnił kroku. Po drodze skinął głową dwóm starszym rocznikom i odpowiedział na ciche „cześć, James” rzucone przez kogoś z boku. Ludzie rozsuwali się przed nimi naturalnie, jakby ich obecność na korytarzu była zjawiskiem atmosferycznym, którego nie należy ignorować.

Nicholas zatrzymał się przy regale z historią prawa, wyciągając telefon.

– Idź, załatw swoje „interesy”. Spotkamy się pod dębem – rzucił za Jamesem.

Zatrzymał się dwa kroki od niej. Za blisko. Pachniał sandałowcem, cytrusami i chłodnym, jesiennym powietrzem.

– Montgomery twierdzi, że twój ostatni wywód o sukcesji był tak dobry, że Brown zaczął podejrzewać u niego nagły przypływ geniuszu – odezwał się. Głos miał niski, aksamitny, ale podszyty tym rodzajem cynizmu, który Amelia potrafiła wyczuć z kilometra. – Musisz się trochę hamować, Vance. Jeśli Arthur nagle zacznie pisać jak przysły sędzia, to nawet on nie wybroni się z oskarżeń o plagiat.

Amelia nie podniosła wzroku. Zapisała plik i zamknęła klapę laptopa z suchym trzaskiem, który odbił się echem od regałów.

– Arthur nie odróżniłby geniuszu od dobrze sformułowanego zaproszenia na jacht, James. Właśnie za to mi płaci. Tobie zresztą też, skoro bawisz się w jego posłańca. Chociaż wciąż nie rozumiem, po co ci ta rola. Masz więcej zer na koncie niż ja mam godzin snu w tygodniu.

James podszedł o krok bliżej, opierając się o krawędź ciężkiego, dębowego stołu. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i położył ją obok jej sfatygowanej torby.

– Twoja dola. Montgomery dodał bonus, bo podobno uratowałaś mu tyłek przed skreśleniem z listy po tym, jak zawalił kolokwium u Marshalla – powiedział, przyglądając jej się z tą swoją irytującą, analityczną uwagą. – Wyglądasz fatalnie. Kiedy ostatnio spałaś więcej niż trzy godziny?

Amelia wsunęła kopertę do wnętrza torby, starając się, by nie zauważył, jak drżą jej dłonie.

– Spanie to luksus dla ludzi, którzy nie muszą martwić się o stypendium rektorskie – ucięła, wstając. – Coś jeszcze? Czy to już wszystkie wieści z wielkiego świata?

James nie poruszył się, blokując jej jedyną drogę wyjścia z archiwalnej alejki. Jego wzrok spoczął na jej twarzy – na cieniach pod oczami i zaciętych ustach.

Zastanawiała się nieraz, dlaczego on to robi. Na pierwszym roku, kiedy na wykładzie z prawa konstytucyjnego ośmieliła się publicznie wypunktować błędy w najsłynniejszym wyroku jego ojca, wszyscy myśleli, że James ją zniszczy. On jednak podszedł do niej tydzień później i zaproponował układ. Zamiast zemsty wybrał współpracę. Myślała, że to był jego sposób na bunt – cichy, inteligentny i

wyjatkowo dochodowy sabotaż wszystkiego, co reprezentował jego ojciec, ale nie była tego taka pewna.

Widziała w nim mieszankę odpowiedzialnego lidera, który trzymał wszystkich w ryzach, i kogoś, kto najchętniej podpaliłby całe St. Jude, byle zobaczyć, jak płoną te wszystkie rodowe herby.

– Mam nową ofertę – zaczął, ignorując jej wrogość. – Olivia Cartwright. Esej o zniesławieniu w *common law*. Płaci podwójnie, jeśli styl będzie wystarczająco... onieśmielający. Chce pokazać ojcu, że nadaje się do kancelarii w Londynie.

Amelia parsknęła śmiechem, który brzmiał bardziej jak kaszel.

– Cartwright? Ta dziewczyna uważa, że stypendyści to błąd w systemie, który należy naprawić za pomocą grubszej warstwy pudru. Gardzi mną, James.

– Właśnie dlatego tak bardzo potrzebuje twojej głowy – James nachylił się nieznacznie, naruszając resztki jej przestrzeni osobistej. – Ona wie, że twój umysł to jedyna rzecz w tym budynku, której nie może odziedziczyć ani kupić na aukcji. Może go jedynie wypożyczyć.

W kącikach jego ust drgnął cień uśmiechu. Ten sam, który sprawiał, że Amelia czuła się jednocześnie wściekła i dziwnie pobudzona intelektualnie. James Thorne nie szukał w niej ofiary. Szukał kogoś, kto byłby godnym przeciwnikiem, nawet jeśli to on rozdawał karty.

– Powiedz Olivii, że cena wzrosła o dwadzieścia procent – rzuciła, przewieszając torbę przez ramię i zmuszając go, by się odsunął. – Skoro chce udawać kogoś, kim nie jest, niech chociaż to odczuje.

Ruszyła w stronę wyjścia, czując, jak serce bije jej zbyt szybko.

– Miłego dnia, Vance – rzucił za nią, a w jego głosie znów usłyszała ten specyficzny ton. Jakby wiedział o niej coś, czego ona sama jeszcze

nie chciała przyznać.

Nie odpowiedziała. Wyszła z biblioteki prosto w chłodne, jesienne powietrze kampusu, czując na plecach ciężar jego spojrzenia. Od początku wiedziała, że ten układ to pętla na jej szyi. Byli współnikami w zbrodni przeciwko reputacji St. Jude i oboje wiedzieli, że to ryzykowna gra, której zasad nikt im wcześniej nie wyjaśnił.

James stał jeszcze chwilę w archiwum, patrząc na puste miejsce po Amelii. Lubił patrzeć, jak walczy. Była jedyną autentyczną rzeczą w tym teatrze pozorów i zamierzał dopilnować, by nie zniknęła z tej sceny zbyt wcześnie.

*

Wieczór w pokoju numer 304 zawsze pachniał tak samo: mieszanką herbaty Earl Grey, drogiego lakieru do włosów Sophie i starego kurzu, którego nie dało się wywietrzyć z akademickich murów St. Jude. Amelia siedziała przy biurku, wpatrując się w pusty dokument tekstowy. Światło biurkowej lampki wycinało z mroku tylko jej dłonie i ekran, na którym kursor pulsował złośliwie, odliczając czas do porannego seminarium.

Drzwi otworzyły się z charakterystycznym impetem. Sophie wpadła do środka, rzucając markową torebkę na łóżko z niedbałością kogoś, kto nigdy nie musiał sprawdzać stanu konta przed wyjściem na miasto.

– Żyjesz? Wyglądasz, jakbyś właśnie wróciła z przesłuchania przed komisją dyscyplinarną – rzuciła Sophie, siadając naprzeciwko przyjaciółki i wyciągając nogi na biurku, tuż obok stosu podręczników do prawa cywilnego.

Amelia nie odrywała wzroku od ekranu. Czuła, jak każde uderzenie serca pulsuje jej w skroniach.

– Fletcher nie dał mi podwyżki. Stwierdził, że na moje miejsce ma kolejkę chętnych, a moje wyniki na prawie nie mają dla niego żadnej wartości rynkowej.

Pieniądze, które James Thorne zostawiał jej w kopertach między regałami, były jedynym powodem, dla którego mogła teraz zacisnąć zęby i nie rzucić tym fartuchem prosto w twarz szefa. Bez tego „brudnego” dodatku do pensji, dzisiejsza odmowa podwyżki oznaczałaby dla niej konieczność rezygnacji ze studiów przed końcem miesiąca.

To była cena, którą płaciła za marzenie o byciu prawniczką: praca dla człowieka, który jej nie szanował, i współpraca z człowiekiem, który nią zarządzał.

Sophie westchnęła i zaczęła masować stopy, zrzucając szpilki na podłogę.

– Bo Fletcher to drobny ciułacz, który nie rozumie, że inwestuje się w ludzi, a nie w godziny. Zresztą, to nazwisko krążyło dziś w kuluarach w dziwnym kontekście. James pytał mnie po wykładzie, czy wciąż bierzesz nocki w kawiarni.

Amelia zeszywniała.

– Pytał o kawiarnię? Po co?

– Pewnie sprawdzał, czy Montgomery nie kłamał, mówiąc, że termin oddania eseju jest zagrożony, bo "jego asystentka" jest przemęczona – Sophie skrzywiła się i sięgnęła po kubek z wystygłą herbatą. – Znam go od piaskownicy, Amelia. James zawsze był chorobliwie drobiazgowy. Pamiętam, jak w wieku ośmiu lat potrafił przez tydzień obserwować gniazdo os, żeby sprawdzić, o której dokładnie wylatują po jedzenie. On po prostu lubi wiedzieć, jak działają mechanizmy, których używa.

Amelia spojrzała na współlokatorkę. Obraz Jamesa Thorne'a jako cierpliwego obserwatora os wydawał się w jakiś sposób złowieszczy.

– Teraz przeniósł swoje obserwacje z ogrodu do archiwum biblioteki, uroczo.

– Może – Sophie wstała i położyła dłoń na ramieniu Amelii. Jej dotyk był ciepły, pozbawiony tej całej prawniczej chłodnej gierki, w której Amelia tkwiła po uszy. – Odpuść na dziś te eseje. Chodź ze mną na piwo. Postawię ci.

Amelia uśmiechnęła się blado, ale pokręciła głową, wracając wzrokiem do dokumentu z nazwiskiem Cartwright.

– Muszę skończyć ten rozdział o zniesławieniu. Inaczej jutro rano nie będę miała z czego zapłacić za kolejny tydzień tego luksusu – zatoczyła ręką krąg, wskazując na odrapane ściany pokoju.

Kiedy Sophie wyszła do łazienki, Amelia ponownie spojrzała na kursor. Informacja o pytaniu Jamesa huczała jej w głowie głośniejsz niż szum starego wentylatora w laptopie. Nienawidziła myśli, że jest pod jego lupą nie tylko wtedy, gdy siedzą między regałami. To poczucie bycia obserwowaną – metodycznie, precyzyjnie, bez emocji – sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej osaczona.

Wpisała kolejne zdanie, czując, jak zapach kawy z kawiarni Fletchera wciąż dusi ją w gardle. James Thorne mógł sobie zbierać swoje dane, ale Amelia Vance wiedziała jedno: w St. Jude jedyną osobą, która mogła ją uratować, była ona sama.

Nawet jeśli musiała do tego użyć jego pieniędzy.

ROZDZIAŁ 2 – CECHY STRAŻNIKA

Zapach starego papieru w czytelni głównej był niemal dławiący, a jednak Amelia wołała go od stęchlizny archiwum. Przynajmniej tutaj

słońce, przedzierając się przez wysokie, witrażowe okna, kładło na dębowych stołach długie, złociste pasy, dając złudzenie, że świat na zewnątrz wciąż istnieje.

Esej o zniesławieniu dla Olivii Cartwright szedł jej zaskakująco gładko. Może dlatego, że pisanie o wpływie na cudzą reputację za pomocą słów wydawało się Amelii wyjątkowo bliskie. Sama właśnie to robiła – budowała fałszywe pomniki intelektu ludziom, którzy na to nie zasługiwali.

Musiła na chwilę odejść od stolika, by odnieść tom orzeczeń do działu zwrotów. Przy automatach z kawą, tuż za rogiem wysokiego regału, zauważyła Nadię Bell i Oliwię Cartwright. Stały tyłem do niej, opierając się o marmurowe kolumny. Ich śmiech był wysoki, czysty i pozbawiony jakichkolwiek trosk.

– ...naprawdę nie rozumiem, po co marnują te miejsca stypendialne – głos Olivii był przesiąknięty nudą. – Takie jak Vance i tak nigdy nie wpasują się w strukturę prawdziwej kancelarii. Brakuje im tego... instynktu. Wyglądają, jakby każde zajęcie były walką o życie. To robi się męczące.

– To tylko statystyka, kochana – odpowiedziała Nadia, poprawiając jedwabną apaszkę. – Uczelnia potrzebuje ich do raportów o „równości szans”. Są jak te ekologiczne żarówki w holu: mało wydajne, ale dobrze wyglądają w prospekcie rekrutacyjnym.

Amelia zacisnęła palce na grzbiecie książki tak mocno, że aż pobieleły jej kostki. Czowała na twarzy uderzenie gorąca, ale nie ruszyła się z miejsca. Słowa zabolowały. Właśnie to była prawdziwa cena jej obecności w St. Jude: mogła pisać najlepsze eseje, a i tak była tylko elementem wizerunkowej strategii.

Wróciła do stolika, wciąż czując echo głosu Nadii w uszach. Właśnie kończyła akapit o różnicy między *libel* a *slander*, gdy ciszę biblioteki rozdarł dźwięk, którego każdy stypendysta bał się bardziej niż oblania egzaminu: suchy stukot ciężkich butów o marmur holu.

Amelia drgnęła. Nad stolikami przeszedł dreszcz. Trzech mężczyzn w ciemnych garniturach z identyfikatorami działu IT i bezpieczeństwa szło tuż obok prorektora ds. studenckich.

– Proszę o uwagę – głos prorektora odbił się echem od wysokiego sufitu. – W związku z podejrzeniami o naruszenie regulaminu korzystania z zasobów cyfrowych, przeprowadzimy wyrywkową kontrolę zawartości plików na komputerach osobistych. Proszę nie zamykać systemów.

Serce Amelii uderzyło o żebra z brutalną siłą. Krew odpłynęła jej z twarzy, zostawiając jedynie lodowaty dreszcz na karku. Na ekranie jej laptopa widniał otwarty dokument: Z_CARTWRIGHT_FINAL.docx. W metadanych pliku wciąż było jej nazwisko. Jeśli to zobaczą, stypendium zniknie w ułamku sekundy, a ona wróci do mieszkania w Lincoln z bagażem długów i biletem w jedną stronę donikąd.

Jej palce zawisły nad klawiaturą. Próba zamknięcia klapy laptopa teraz byłaby jak przyznanie się do winy. Panika zaczęła wypełniać jej płuca, gęsta i czarna.

– Zaczniemy od tego rzędu – wskazał prorektor, kierując się prosto w stronę jej stolika.

Amelia policzyła do siedmiu. Nie pomogło. Zamknęła oczy, czekając na koniec, gdy nagle powietrze obok niej znów zmieniło gęstość.

– Panie prorektorze, czy to naprawdę konieczne, by zakłócać ciszę w ten sposób? – chłodny, znajomy głos przeciął napięcie jak skalpel.

James Thorne stał przy sąsiednim regale, trzymając w ręku oprawiony w skórę tom kodeksu karnego. Wyglądał, jakby przed chwilą oderwał się od wyjątkowo nużącej lektury, ale Amelia zauważyła, że jego wzrok jest nienaturalnie ostry. Nicholas nonszalancko opierał się o stolik obok, rozbawiony – bo bawił go każdy chaos rozgrywający się na jego oczach.

– Panie Thorne, to rutynowe działania zabezpieczające... – zaczął prorektor, wyraźnie tracąc pewność siebie. Nazwisko sędziego Thorne'a miało w St. Jude siłę grawitacji.

– Rutynowe? – James zrobił krok w stronę urzędnika, stając dokładnie na linii wzroku między nim a Amelią. – To oznacza dostęp do prywatnych danych na urządzeniach osobistych, a to łatwo mógłby stać się tematem bardzo interesującej debaty na jutrzejszym seminarium u dziekana. Czyba że dział IT ma oficjalny nakaz podpisany przez radę powierniczą?

Prorektor zająknął się. James nie ustępował. Przesunął się o kolejny centymetr, jego ciało tworzyło teraz fizyczną barierę, zasłonę, której nikt nie odważyłby się przekroczyć.

– Rozumiem troskę o regulamin, ale mój ojciec zawsze powtarza, że procedury bez podstaw prawnych to tylko uprzejma forma tyranii – dodał James z lekkim uśmiechem, w którym nie było ani grama wesołości.

W bibliotece zapadła martwa cisza. Amelia czuła, jak klatka piersiowa Jamesa niemal dotyka jej ramienia. Czuła ciepło bijące od jego ciała i zapach sandałowca, który teraz nie wydawał się już tak irytujący. Wręcz przeciwnie – był kotwicą.

Cisza przeciągnęła się o ułamek sekundy za długo.

Prorektor zawahał się. Spojrzał na ludzi z IT, jakby szukał potwierdzenia.

– Sprawdzimy najpierw serwery ogólne – powiedział w końcu. – Urządzenia prywatne zostawmy na później.

Kiedy stukot butów w końcu ucichł w oddali, Amelia poczuła, że znów może oddychać. Jej dłonie drżały tak mocno, że musiała je schować pod blatem stołu. James nie odsunął się od razu. Stał tam, wciąż osłaniając ją przed resztą sali, patrząc przed siebie z tą samą, kamienną maską prefekta, którą nosił na co dzień.

– Zamknij plik, Vance – szepnął, nie odwracając głowy. Jego głos był niski, niemal pozbawiony emocji, ale wyczuła w nim nutę, której wcześniej nie znała.

Wcisnęła kombinację klawiszy, patrząc jak dokument znika z pulpitu. Dopiero gdy ekran stał się czarny, James odwrócił się ku niej.

– System nie mruga. Jak raz cię złapią, nie będzie odwrotu.

Spojrzała na niego, a jej wściekłość na moment przegrała z czymś, co przypominało... uznanie. Po raz pierwszy zobaczyła w nim kogoś więcej, niż tylko aroganckiego pośrednika. Zobaczyła kogoś, kto potrafił stanąć między nią a przepaścią.

– Chronisz własny interes, Thorne. Gdybym wyleciała, musiałbyś sam pisać te bzdury dla Olivii – odparła, starając się, by jej głos brzmiał tak twardo, jak zwykle.

James uśmiechnął się krzywo, a w jego oczach mignął ten niebezpieczny błysk, który tak bardzo ją drażnił.

– Oczywiście. Mój interes jest dla mnie najważniejszy – odparł, prostując się. – Ale na twoim miejscu zastanowiłbym się, czy

naprawdę chcesz testować, jak długo starczy mi cierpliwości do pilnowania twoich pleców za darmo.

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając ją w ciszy biblioteki. Amelia patrzyła na swój czarny ekran, czując, jak serce powoli wraca do normalnego rytmu. Wiedziała, że to, co zrobił, nie było aktem altruizmu. W St. Jude nic nie działo się bezinteresownie. Ale wiedziała też, że w tym świecie pełnym drapieżników, James Thorne właśnie pokazał jej swoje kły. I po raz pierwszy nie były one skierowane przeciwko niej.

*

Godzinę później Amelia siedziała w stołówce naprzeciwko Sophie. Jej dłonie wciąż lekko drżały, gdy trzymała kubek z kawą.

– James mnie dzisiaj wyciągnął z bagna – powiedziała cicho, relacjonując wydarzenia z biblioteki. – Stał tam i kłamał prorektorowi w twarz, używając nazwiska swojego ojca jako tarczy. Nie rozumiem go. Przecież ryzykuje własną reputację dla głupiego eseju Olivii.

Sophie mieszała sałatkę, nie wydając się ani trochę zdziwiona.

– Nie zrobił tego dla eseju, Amelia. Zrobił to, bo on taki jest.

Amelia prychnęła.

– Jest cynicznym pośrednikiem, Sophie. Chroni swój biznes.

– Może teraz tak to nazywa – Sophie odłożyła widelec i spojrzała jej prosto w oczy. – Ale znam go od czasów, gdy wspinaliśmy się na stare dęby w posiadłości jego ojca. Kiedy mieliśmy osiem lat, James wziął na siebie zbiecie ulubionego wazonu sędziego Thorne’a. Wiedział, że dostanie za to zakaz jazdy konnej na miesiąc i tydzień zamknięcia w pokoju. Zrobił to tylko dlatego, że to ja trzymałam

wtedy piłkę. Siedział w tym pokoju i ani razu nie pisnął, czyja to była wina.

Amelia poczuła dziwne ukłucie w klatce piersiowej. Obraz małego Jamesa Thorne'a, który milczy pod karzącą ręką ojca, by chronić przyjaciółkę, zupełnie nie pasował do człowieka, którego знаła z archiwum.

– Ludzie wyrastają ze szlachetności, Sophie – ucięła, choć jej własny głos brzmiał mało przekonująco.

– James nie wyrósł. On ją po prostu bardzo głęboko schował pod tymi swoimi garniturami i cynizmem. On nie szuka ofiar, Amelia. On szuka kogoś, kto byłby wart tego, żeby za niego skłamać.

Amelia wróciła do jedzenia, ale słowa Sophie nie dawały jej spokoju. Jeśli James Thorne naprawdę był „strażnikiem”, to znaczyło, że jej obraz świata – w którym każdy gra tylko na siebie – właśnie zaczął pękać. A to było o wiele bardziej niebezpieczne niż kontrola IT.